

Kazimierz Kłóś – „Kaskada” dowcipu i gracji

„Słowo Powszechnie”
nr 75 z 29 marca 1962 r.

Wiemy, że istnieje „specyficzny humor narodowy” dajmy na to francuski, polski itd. Humor oczywiście pojęty jak najszerzej, nie tylko jako cięta igraszka słowna, figlarna kreska rysunku, ale jako cały zespół czynników, jako odrębne dla każdej nacji odczucie komizmu. Władysław Zambrzycki w swej najnowszej książce pt. „Kaskada Franchimont” („Czytelnik” 1962) odkrywa rozległy świat... humoru belgijskiego, z flamandzka bodajże, zwanego „zwanze”.

Najważniejsze słowniki i encyklopedie europejskie – według autora – miały kłopot ze zidentyfikowaniem istoty tego humoru, toteż Zambrzycki woli ilustrować przykładami ten nieznan u nas typ dowcipu.

Tylko że to jest teza autorska, zamysł, cel, dla którego książka została napisana. I nie rozprawka o istocie „zwanze” jest adresowana do czytelnika. Dla miłośników radosnych, optymistycznych powieści Zambrzyckiego „Kaskada” jest lekturą równie egzotyczną jak „Nasza Pani Radosna”. Odkrywa bowiem dziwny, kraj pełen miast jakby żywcem przeniesionych ze średniowiecza, omszałych od zapachu „dziadowskich” piw, kanałów, wzdłuż których potężne flamandzkie kobiety ciągną stępa barki pełne pszenicy i ogródków warzywnych na pokładzie. Pokazuje zwyczaje z legend średniowiecza biorące swój początek. Słowem, Belgię młodości autora.

Władysław Zambrzycki zna ten kraj ze studiów. (Było to bodajże 50 lat temu. Prawda, panie Władysławie?). Wielu Polaków studiowało wtedy w Leodium. Konfrontacja wrażeń młodości z późniejszymi zaostreza spojrzenie. Zambrzycki dostrzegł w Belgach nie tylko „zwanze”. Dostrzegł bogatą spuściznę połandryjską, broniącą się przed prężną i zdobywcą kulturą francuską. Jest miłośnikiem tego, co zostało po nieruchomych flamandczykach i wesołych, czarnookich walińczykach. Notuje każdy szczegół, drobny bodaj fakt, mało znany błąd zwyczaj. A jaki ładunek miłości do tego przeciętego kanałami kraju zachował z młodości, niech świadczy fakt, że do Belgii, jako tło dla przezabawnych perypetii swych bohaterów, powrócił po raz drugi. Pierwszy raz dokonał tego w „Mgle nad Skaldą” – powieści napisanej w sześć tygodni i jak się sam o niej wyraził „nie nazbyt udanej”. Można się spierać z autorem o ocenę tej książki („Avir” 1947). Czytelnicy „Mgły” i „Kaskady” mogą dojść do zgoła odmiennego zdania. Obie te powieści ukazują nam i kraj ciekawy, zgoła nieznan i... warsztat pisarza rysującego akcję i sylwetki bohaterów piórem lekkim i dowcipnym, w duchu właśnie belgijskiego poczucia humoru.

Aż dziw bierze i to podwójnie. „Zwanze” – choć niewątpliwie to twór ducha flandryjskiego, bliskie jest polskiemu odczuciu komizmu. Lecz dziwniejsze jest to, że tak pogodna, beztroska i mądra książka wyszła spod pióra autora schorowanego, steranego wiekiem i kłopotami, lata całe nie opuszczającego przyziemianego pokoju... Pisarza niezwykłego, bo zarażającego optymizmem i wiarą w piękno codziennego życia.